Rozmaitości

Dnia 30. Stycznia — Nr 5. — 1836 Roku.

PROFESSOR.

Powieść T. A. Olizarowskiego.

Znajdzie się w świecie, który słuchaczowi
O młodych latach professora powié;
Czy był otyły, czy chudy za młodu?
Krew, myśl, i serce z jakiego wziął rodu?
Gdzie brał nauki?... gdzie i jak oddychał?
Czy łzy wylewał, czyli się uśmiéchał?
Czy ogień wieczny miłością nazwany
I jego serce oświecał przed laty?...
Błogosławiony, czyli przeklinany.
Czy Messiasza jeszcze oczekiwał,
Czyli w sprawdzenie proroctwa uwierzył
I całém czołem przed krzyżem uderzył?
Czy Mohameda szeryfem nazywał
I brał alkoran za życia podstawę?
Czy pragnął sławy, czy jaką miał sławę?
Jakie miał cele — i jak się nazywał?...
Najdzie się taki, który słuchaczowi
O czém ja nie wiém dokładnie rozpowié;
Ja zaś to tylko, co się dotąd mieści
W oczach méj myśli, umieszczę w powieści.

I.

PAN PROFESSOR.

Kiedym go poznał był pół wieku blizki,
Zdawna żonaty, otyły i nizki;
Czoło wysokie, w środku załamane,
A nad oczyma w brwi się wsuwające;
Pociągłe oczy, ruchawe, błyszczące,
Białki krwawémi cętki nakrapiane,
Oznaka złości; lica rozłożyste,
Burakowate, ciemne i mięsiste;
Nos spadający, w ustach słówek pełno,
Uszy szérokie kwitnące bawełną;
Włos w gruncie ciemny, gęsty, rozrzucony,
Z wiérzchu gdzie niegdzie srébrem obciągniony;
Krzak bakenbartów po obojéj stronie
Spłoszony brzytwą pod włosy uciekał,
I wciąż swojego nazwiska się zrzekał.
Uśmiéch szyderski nad policzków tonie
Podlatał, błyskał, i ludzi odstręczał
Od professora; ten uśmiéch wyręczał
Niekiedy słowa. Obfitemu w słowa,
W słówka, słóweczka, przycinki, żarciki,
Niekiedy nagle zatrzyma się mowa
I buchną z gardła krótkie wykrzykniki,
Wysiłki płuców, krótkie zapytania,
Krótsze o ludziach, jadowitsze zdania.
Albo gdy chwalił, to korce pochwały
Z ust professora na wiatr się sypały.
Mówiono o nim, że dziwak, fantasta,
Że to nie człowiek, że obok swéj żony
Bladéj, wyglądał jak upior czerwony;
Że szczególniéjsza musi być niewiasta.
Co z nim żyć może. Gniewny, opryskliwy,
Ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy,
Ani wesoły, i ani posępny,
Nie wiedzieć jaki humor; nieprzystępny,
Acz drzwi otwarte do jego komnaty
Każdemu z ludzi; ale tam wchodzący
Miał w swéj śmiałości zwykle mnogie straty:
Dostawał drżenia, jak występujący
Z prymicyją na świat, z koncertem artysta,
Albo jak młody żołniérz przed atakiem;
Tam professora wzrok zrywa się ptakiem
Drapieżnym. Jego śmiéch z pory korzysta,
Ewaporuje z czerwonych fal lica,
I w górę idzie lub na dół osiada:
Jeżeli w górę to gościowi biada,
Tam będzie burza, będzie łyskawica,
Będą pioruny; bo twarz professora
Jest jak świat cały. Tam ma każda pora
Swoje processa. Tam śmiéch ciągle wchodzi,
To słońce twarzy nigdy nie zachodzi,
Bo nawet wtenczas, kiedy śmierć wybladła;
Wapno na miejscu cegieł twarzy kładła,
To wtenczas jeszcze to słońce nie gasło,
Chociaż zżółkniało i stygło, jak masło.
Professor lubił w szlafroku, w szlafmycy,
W pantoflach, z fajką poranek przepędzić
W ogródku — tam on nie zwykł łajki szczędzić.
Professor lubił kiedy robotnicy
Śpiéwali piosnki wesołe i głośne,

Mówił, że w śpiewie jest do prac zachęta:
»Nuże! śpiewajcie! śmiejcie się dziéwczęta!
»Dziéwcze najlepiéj pracuje radosne.«
Żartował z niemi; patrzył jak botanik,
To widział kwiaty zwyczajne na głowie.
Patrzył jak krawiec: widział długi stanik.
Jak szewc, to pytał: »Gdzie twoje obuwie?
»Durna! czemużto bócików nie sprawić,
»Gdy masz pracować, a gdy masz się bawić
»To baw się boso, tańcząc nóg nie żałuj,
»A rąk pracując. Miłego pocałuj;
»A mnie posłuchaj: Tu posadź ten kwiatek,
»Ten wyrzuć; wstydź się! schowaj na ostatek,
»Położ na stronie.« Tu dziewczyna nie wié
Co zrobić z kwiatem. Pan professor w gniewie:
»Fe! wstydź się! męża nie będziesz mieć za to,
»Bo kto piwonii posadzić nie umié,
»O tym zapomni i wiosna i lato.«
Dziwcze w płacz... »Ona żartów nie rozumié.«
Professor każe dać kieliszek wódki
I tém zakończa jéj płacze i smutki.
Wraca do domu, i w fotel széroki
Zwolna zapuszcza swe dyszące boki,
Kwadrans oddécha psów letnim oddechem;
Potém poziewa, potém szklankę rumu
Pije, i papiér podsuwa z uśmiéchem
Pod tłustą rękę, i śród książek tłumu
Jednę ze środka zazwyczaj wybiéra,
Która się przed nim naściéraj otwiéra,
Książka Klopsztoka.
O wielki Klopsztoku!
Wieleś ty iskier w professora oku
I duszy zbudził. Nawet twoi czarci
U professora byli więcéj warci,
Niżli heleńskich rapsodów heroje:
»To dzieło duszy, tamto dzieło ciała.«
Mówił professor. Twoja sława grała
Na jego sercu, boskie księgi twoje
Były dla niego butelką lejdejską;
Nie mogł usiedzić z fotelu się zrywał,
Śmiał się złośliwie, i ręką alejską
Pochwycał książkę, szarpał, pruł, znów zszywał,
Całował: »To są relikwie!« wołał.
Upadał w krzesło, dyszał; ledwo zdołał
Wziąć w rękę pióro. Pan professor sądził,
Że jest poetą; bo pojął, zrozumiał,
Wszedł w świat poetów, bo mu w głowie szumiał
Rum i rym brzęczał — i w gruncie nie błądził.
I wy, jeżeli ujrzycie człowieka,
Którego w księgę rzucona powieka
Wstrzęsnie się, nabrzmi, nagle się roztworzy,
I łzę na książce lub uśmiéch położy,
Nie będzie błędu, jeżeli powiécie:
To jest poeta. Pewnie jego życie
Jest poetyczne, w jego ręku pióro
Pewnieby żyło, jego umysł górą
Nie dołem lata, w jego duszy pewnie
Więcéj jest ognia, niżeli w tém drewnie,
Z którego łona błysnął ogień piérwszy.
O! pan professor daléj jeszcze sądził,
Że do pisania pełnych ognia wiérszy
Potrzebny arak, i w gruncie nie błądził.
Wszak Łomonosów, wszak sam Szyller wielki
Dla swego ducha brał skrzydła z butelki;
Professor umysł równał do balonu:
»Daléj fantazyjo! pełzaj u stóp tronu
»Niezrównanego architekty życia!«
Ale fantazyja przez tyle warst ciała
Professorskiégo dobyć nie umiała
Swych śmiałych lotów, więc rum ją z ukrycia
Miał nieść na widok. Szklanka rumu w gardło,
Wraz się zanurza; na chwilę zamarło
Wszystko, co żyło w professora głowie;
Tuman przed jego wałęsa się wzrokiem,
Cały świat widać za mgłą, za obłokiem;
Czas użyć głosu, i słowo po słowie
Z ust mu wygląda, ale ust granice
Przejść się nie waży... czupryna się kurzy,
Brwi się podnoszą, blakują źrenice,
Usta buchają, krew się wzdyma, burzy;
Zaléwa rysy, faluje przez skronie,
Czoło i oczy, i na cyplu nosa
Stacza swe męty. Myślałbyś, że osa
Lub szérszeń mieszkał w professora łonie,
Teraz wezbraniem źródeł krwi wzniesiony
Aż do otworu; kędy powonienie
Ma swe granice, ztamtąd wynęcony
Tchnieniem powietrza na znak dziękczynienia,
Albo przez zemstę, na nosie zostawił
Krwawy kurhanek. I gdybyś ustawił
Twarz professora, i z płaczu zsiniałą
Twarz niemowlątka, a to byś się zdumiał,
Farb podobieństwem, i spytać byś umiał
Siebie samego: Za czém się to stało,
Że na dnie różnym, i tak jeszcze różnym,
Tak są podobne do siebie kolory?

W tém się otwarły źródła potu, pory,
I pot wystąpił i był zbyt usłużnym
Professorowi; wraz mu ułagodził
Ostry koloryt lica, poobchodził
Wszystkie zakąty twarzy, na kurhanek
Nosa wyskoczył, i nos był jak zbanek
Z wody wyjęty, na którym zostawia
Woda swe krople —
Pan professor wprawia
Rozwagę w czoło. Rozwaga nie umié
Używać głosu w krwié i uczuć szumie,
I jego myśli, jako rozbitkowie,
Szukają lądu po sercu, po głowie,
I nie znajdują i nikną w odmęcie,
I jego umysł, jak powóz na skręcie,
Złamał się.

Wchodzi furman do komnaty;
Professor wzrokiem z szybami się kłócił,
A do furmana pół twarzy obrócił:
»Siadaj, studencie! czytaj; bo do straty
Nie wiele czasu; prędzéj... bliżéj siadaj:
Co napisałeś, co umiész? no, gadaj.

FURMAN.

Ja umiém panie... Wszak pan wié, co umiém.

PROFESSOR.

Pan jesteś głupi; precz! Pan jesteś Tumim,
Nie jesteś Urim; o nie, nie szlachcicu!
Patrzysz na niebo, widok arcy-miły;
Patrzysz na księżyc, cóż widzisz w księżycu?
Patrzysz na gwiazdy, z kim gwiazdy walczyły?
Gwiazdy piołunnéj w niebie szukasz może?...
O! nie! nie szukaj; wszak ta gwiazda spadła,
Potłukła mnogie, słodkie wód zwierciadła,
I zmieszała się z wodami, przestworze
Zmianom uległo; kędy przeleciała
Piołunna gwiazda, tam iskry goryczy
Powietrzna ręka z gwiazdy obrywała,
I z piérwiastkami mieszała słodyczy,
Ta jest na ziemi epoka goryczy.
A może szukasz gwiazdy, któréj dano
Klucz od przepaści studzień, co otwarła
Studnia przepaści, z któréj buchnął garła
Dym i zasypał powietrze i słońce
I wszystko jasne; w szarańcze się zmienił,
Wziął jad niedzwiadków na swych pyszczków końce,
I szkodził ludziom, na których pieczęci
Bożéj nie było. Musisz mieć w pamięci
Apokalypsys; wszakżeś tam zaglądał,
A możeś dociec tajemnicy żądał.
O! jeźli spojrzéć chcesz w słowa proroka,
Dostańże sobie prorockiego oka —
Ale nikt jeszcze myśli nie otworzył.....«

Furman z podełba poglądał na pana,
Przeżegnał piersi i odszedł z przestrachem,
I krzyk zewnętrzna powtórzyła ściana.

A pan professor: »Nad błękitnym dachem,
Co zowiész niebem, nasze myśli krążą;
Spytajże dokąd?... kiedy, i jak zdążą?...
Nacóżto ludziom myśl wypuszczać z czoła?
Nacóżto z klatki wypuszczać sokoła?
Cóż sokoł może? Może w górę wzlatać,
Może swój oddech i swe skrzydła wplatać
W chmury, w obłoki; swe piersi przenaszać
Z miejsca na miejsce, i tryumf ogłaszać
Nad nizką ziemią. My, chodząc po ziemi,
Śmiejem się z ptactwa, że nie umié chodzić.
Ztąd łatwo strony obiedwie pogodzić,
Ptak chciałby chodzić nogami naszémi,
My chcemy latać skrzydłami ptasiemi;
Lub inném słowem: Ptak chce być człowiekiem,
A człowiek ptakiem — i to będzie z wiekiem...«
Professor daléj chciał objawiać jeszcze,
Żona przerwała te zapały wieszcze,
Wbiegła z przestrachem, załamując dłonie:
»Ja nieszczęśliwa!«

PROFESSOR.

Cóżto jest asani?

ŻONA.

Ty jesteś chory!

PROFESSOR.

Żonki i poddani
Jeden los mają... Czém cesarz na tronie,
Tém jest mąż w domu. Proszę nie przerywać
Lekcyi; precz z Bogiem! Poco mi tu śpiéwać
Po nad uszyma o swoich nieszczęściach?
W kolébkach głupie marzą o zamęściach,
A potém kiedy ksiądz powiąże stułą,
Płaczą, skawęczą. Asani tak czułą
Nigdyś nie była, i być nie powinna;
Zkądże ta czułość? Stara, a dziecinna.

ŻONA.

Panie Michale... moj drogi! mój mężu!

PROFESSOR.

Precz! precz ztąd babo! kusicielu wężu;
Michał się nie da skusić jako Adam;
Patrzaj asani, ja ręce zakładam
I nic na placze, jęki nie odpowiém.

ŻONA.

Ja to opłacę mój Michale zdrowiem.

PROFESSOR.

Nie płać asani; lepiéj zostań dłużną,
Tymczasem nie męcz uszu mową próżną;
— Tu się oglądnął — i gdzieżeś studencie!?

ŻONA.

Tutaj żadnego studenta nie było.

PROFESSOR.

A z kimże przecie tak się tu mówiło?

ŻONA.

Z Pawłem furmanem.

PROFESSOR.

Siać masz przedsięwzięcie,
To siéj, a zbierzesz. Dla czegożby Paweł,
Piotr, Łukasz, Maciéj, Kasper albo Gaweł,
Nié miał posłyszéć tego, co się mówi
Do Alexandra albo Juliusza?
Cóż między nimi różnicę stanowi?
Tych w cieńszéj, tamtych w grubszéj skórze dusza,
Ale objętość duszy ich jednaka —
Jeszcze raz tego przysłać mi chłopaka;
Z tego stworzenia ja zrobię człowieka.

ŻONA.

Chodź już na obiad.

PROFESSOR.

Obiad niech zaczeka!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

UŁAN POLSKI.

Murat znajdował się w Madrycie; miał on do Junota przesłać depesze największéj wagi, lecz nieszczęściem wszystkie drogi, które prowadziły do Lizbony, osadzone były gerylasami, a mianowicie wojskami, zostającémi pod dowództwem najdzielniéjszych mężów Hiszpanii, wsławionych w téj walce o ziemię ojczystą; oddziały te składały armiję Castagnosa. Murat o tych przeszkodach, i ztąd wynikłym kłopocie, mówił z baronem Strogonów, posłem rossyjskim na dworze hiszpańskim, który podówczas został się w Madrycie. Wiadomo, że Rossyja żyła wtedy z Francyją w przyjaźnych stosunkach. Pan Strogonów powiedział na to wielkiemu księciu Berg, że nié masz nic łatwiejszego, jak to, co zamyśla, do skutku przyprowadzić. »Admirał Siniawin stoi w porcie lizbońskim,« rzekł poseł, »proszę mi dać tylko najroztropniéjszego z waszych polskich ułanów, a ja go w rossyjski przybiorę mundur, i wręczę mu depesze do admirała. Książę ze swojéj strony niech mu ustnie swoje rozkazy powierzy, a wszystko pójdzie najlepiéj, bo chociaż go kilka razy w drodze do Lizbony zatrzymają, jednakże nic to nie szkodzi, albowiem powstańcy wolą miéć za sobą neutralność naszę, niż do nieporozumień dawać powody.«

Ta wyborna rada, niezmiernie ucieszyła Murata. Natychmiast wezwał dowódzcę Polaków, Wincentego Krasińskiego, aby mu wynalazł rozsądnego i doświadczonéj odwagi człowieka. O podobnych ludzi nie było trudno między ułanami polskiémi, i tylko sam wybór był najtrudniéjszy. We dwa dni potem Krasiński stawił przed wielkim księciem Berg, młodzieńca ze swego korpusu, za którego własną głową ręczył; nazywał się on Lekczyński, i miał lat 18.

Wielki książę wzruszył się, widząc, iż tak młodego człowieka na tak pewne miał narażać niebezpieczeństwo; albowiem, gdyby go odkryto, śmierć czekała go niechybna. Murat nie mógł się wstrzymać, aby Lekczyńskiemu nie wystawił w żywym obrazie niebezpieczeństwa, na jakie się narażał. Młody Polak uśmiéchnął się i odpowiedział skromnie i z uszanowaniem: »Niech tylko W. Wysokość udzieli mi swoich rozkazów, a ja zaszczycony jego zleceniem, o ile można najlepiéj wszystkiego dopełnię.« Murat poznał się na odważnym umyśle młodzieńca, i powierzył mu swoje zlecenia, a baron Strogonów wręczył mu depesze do admirała Siniawin. Młody Polak, przebrawszy się w mundur rossyjski, puścił się w drogę do Portugalii.

Gościńce, jakto już nadmieniliśmy, pokryte były oddziałami wójsk hiszpańskich. Przez piérwsze dwa dni jechał bez przypadku, nikt go nie zatrzymał; dopiéro na trzeci dzień po południu otoczył go oddział Hiszpanów, który go rozbroił i przed dowódzcę powiódł. Szczęściem dla dzielnego młodzieńca, byłto sam Castagnos. Lekczyński zrozumiał swoje położenie, i wiedział dobrze, że ktokolwiek byłby tu dowódzcą i zaczął go badać, musiałby zginąć nieochybnie, gdyby w nim francuzkiego żołniérza poznano. Natychmiast więc mocno sobie przedsięwziął, od téj chwili ani słowa po francuzku nie mówić, i tylko rossyjskiego lub niemieckiego używać języka.

Dzikie wrzaski, jakie wydała zajadła zgraja, która go włokła przed Castagnosa, otworzyły mu oczy na los, jaki go czekał, a przytém wspomnienie okropnego zabójstwa, popełnionego na jenerale Réné przed kilkoma tygodniami, było dostateczne, aby krew ścięła się w żyłach młodzieńca. Smierć sama nigdy nie zatrwoży odważnego serca, lecz ponieść ją w skutek najwyszukańszych katuszy, więcéj jest, niż ludzkie siły znieść mogą.

»Kto jesteś?« zapytał Castagnos młodego Polaka po francuzku, którym językiem płynnie mówił. Lekczyński wypatrzył się na pytającego, wstrząsnął głową, i odpowiedział po niemiecku: »Nie rozumiém.« Castagnos zrozumiał go i zaczął do niego tymże samym językiem, lecz nie chcąc dłużéj badaniem zajmować się, wezwał oficéra ze swego sztabu, który z nim rozmawiał się daléj. Młody Polak odpowiadał to po rossyjsku, to po niemiecku, i strzegł się jak najmocniéj, aby się ani jedném francuzkiém słowem nie zdradził. Jednakowoż dręczyło go to okropnie, gdy się ujrzał w małéj izbie, otoczony krwiożerczą tłuszczą, oczekującą co chwila wyroku, że jest winowajcą, t. j: Francuzem, aby go porwać i zamordować. Oburzenie do tego stopnia doszło, że sam jenerał nie zdołał go ułumić; następujący wypadek w taką matnię wpędził nieszczęśliwego więźnia, że nie było już żadnéj ocalenia nadziei. Jeden z adjutan-

tów Castagnosa, fanatyczny patryjota, o jakich nie trudno było w hiszpańskiéj wojnie, i który zaraz z początku powstał przeciw Lekczyńskiemu, nazywając go francuzkim szpiegiem, wszedł do izby, gdzie się odbywało śledztwo i prowadził za rękę włościanina w brunatnym kaftanie, w wysokim kapeluszu z czerwoném piórem. Oficér przebiwszy się przez zgraję; stawił włościanina przed Polakiem i rzekł: »Przypatrz się mu dobrze, i powiedź, azali to jest Niemiec lub Moskal? bo ja powiadam, że to szpieg, i gotów jestem przysiądź na zbawienie moje!« dodał i tupnął w ziemię nogą.

Tymczasem włościanin przypatrywał się młodemu Polakowi, lecz to nie długo trwało, bo ledwie kilka razy zmierzył go od stóp do głowy, kiedy oko jego ożywiło się i zaiskrzyło dziką nienawiścią: »To Francuz, to Francuz!« zawołał i uderzył w ręce, potém opowiadał, że przed kilkoma tygodniami był w Madrycie. »Tam ja tego człowieka poznałem, albowiem kupował ode mnie furaż, za który zapłacił kwitem, a teraz kiedyśmy go schwytali, rzekłem do naszych: że to jest oficér francuzki, któremu obrok mój sprzedałem.«

Byłato najrzeczywistsza prawda. Sam Castagnos w duchu był o tém przeświadczony, lecz jako szlachetny przeciwnik nie chciał krwi rozlewem utrzymywać budowy hiszpańskiéj wolności, którąby i piękniéj i trwaléj się wzniosła, gdyby tacy męże jak on, jak Laromana, Palafox i kilku innych stérowali okrętem ojczyzny. Widział on dobrze, że młodzieniec ten nie jest Moskalem, ale miał powód obawiać się dzikiéj swawoli, jakiéjby dopuszczono się, gdyby w nim Francuza odkryto. Castagnos utrzymywał, aby go wolno puścić, gdyż Lekczyński ciągle obstawał przytém, że jest Rossyjaninem, i że ani słowa po francuzku nie umié. Lecz za piérwszém słowem, które w jego obronie wyrzekł jenerał, podniosło się sto groźnych głosów, i już obił się o jego uszy wyraz: Zdrajca. Nie podobna było o łagodności pomyśléć. »Chcecież więc zerwać z Rossyją, któréj neutralności pragnęliśmy tak usilnie?« — »Nie!« odpowiedzieli oficérowie, »lecz musimy go jeszcze wybadać.« — Lekczyński wszystko rozumiał, język hiszpański nie był mu obcym. Zaprowadzono go do izby, mającéj pozór najokropniéjszego więzienia. Jak tylko drzwi zamknęły się za nim, przypomniał sobie, że już 18 godzin nic nié miał w ustach; dodawszy do tego utrudzającą podróż, okropność położenia, nie będzie nas dziwić, że nieszczęliwy bez zmysłów prawie upadł na wiązkę słomy, rozesłaną w kącie więzienia. Słońce jeszcze nie było zaszło, bo promień jego, tak jasny na pięknem niebie Estremadury, przeciskając się przez wązkie okienko, wysoko wybite w ścianie, na chwilę jeszcze napawał wzrok biédnego więźnia. Lecz wkrótce znikła i ta pociecha; niebo okryło się chmurami, ciemność ogarnęła wszystko; Lekczyński rozważał całą okropność swego położenia, sądził o niém z krwią zimną, i czuł, że już nie było nadziei. Wprawdzie posiadał on wiele odwagi, lecz w 18m roku umiérać, to na zbyt wcześnie, na zbyt żalu za światem, którego nie poznał, nie użył. Przez chwilę walczył jeszcze z ponurémi obrazami, które roiły się w jego fantazyi, lecz wkrótce sen go zwyciężył, a sen tak mocny, że prawie śmierci się równał.

Minęło może ze dwie godzin, kiedy drzwi więzienia otworzyły się po cichu, i ktoś wszedł ostrożnie. Światło od lampy zakryte było ręką, aby nie rzucało blasku; osoba przybyła schyliła się nad spiącym więzniem, ręka zakrywająca lampę, trąciła go po ramieniu, i głos słodki, łagodny, niewieści, rzekł do niego po francuzku: »Chcesz wćpan jeść?« Zerwał się Polak, obudzony blaskiem światła, dotknięciem ręki i słowami młodéj dziewczyny, i na pół spiący prawie zapytał w niemieckim języku: »Czegożto chcecie ode mnie?«

»Natychmiast niech mu jeść dadzą,« rzekł Castagnos, dowiedziawszy się o wypadku téj piérwszéj próby. »Potém osiodłać mu konia, niech z Bogiem jedzie. On nie jest Francuzem; jakżeby mógł do tego stopnia nad sobą panować; to rzecz niepodobna.«

Ale Castagnos nie rozkazywał sam jeden. Wprawdzie Lekczyńskiego nakarmiono, lecz konia nie osiodłano, musiał zatém aż do rana pozostać w więzieniu. Potém przeprowadzono go w miejsce, gdzie mu pokazano zeszkaradzone ciała dziesięciu Francuzów, których zamordowało chłopstwo z Truxillo, i tam przepędził dzień cały, dzień długi, w ustawnéj obawie podobnéjże śmierci. Nieustannie otoczony sidłami, szpiegowany uszami, które każden głos jego chwytały, pod strażą ócz

bystrych, śledzących najdrobniéjszego ruchu, szlachetny ten i śmiały Polak, pamiętał na dane sobie słowo, i żadném poruszeniem, żadnym głosem nie wydał się, czém był w istocie. Nakoniec po wielu godzinach okrótnéj próby, odprowadzono go do więzienia, gdzie w samotności mógł nad sobą rozmyślać.

»Mości panowie!« rzekł jenerał Castagnos, »równie jak wćpanowie czuję całą ważność przeszkodzenia porozumieniom się między dowódzcami rozmaitych korpusów francuzkich w Hiszpanii; lecz w położeniu, w jakiém się ten oficér znajduje, nie możemy go na świadectwo jednego z naszych o szpiegostwo obwiniać. Człowiek ten mylić się może — podobieństwem się uwodzi; mielibyśmy zabójcami zostać? Tego nie dozwolę, to być nie powinno, mości panowie!«

Oficér, któremu ów włościanin powierzył swoje domysły względem więźnia, był z rzędu tych namiętnych ludzi, którzy chwyciwszy się jakiego zdania, choćby najniesłuszniéjsze było, obstawać przy niém usiłują. Jakoż tak rzecz obrócił, że człowiek ten jest francuzkim szpiegiem, i jakąś bardzo ważną osobą. »A choćby nawet był i Moskalem,« dodawał; »to przecież Moskale trzymają z Francuzami!«

Lekczyński z ukontentowaniem wrócił do swego więzienia, bo prawie przez 12 godzin widział same tylko szubienice i krwawe, oszpecone ciała. Zdawało mu się jeszcze przez szczeliny w murach więzienia widzieć cienie tych ofiar, które pokazywano mu na drzewach przy drodze. Pod nawałą tych krwawych obrazów zapadł on znowu w sen głęboki, podczas którego drzwi się otworzyły zwolna i po cichu. Osoba jakaś przybliżyła się do jego posłania, i ten sam łagodny głos niewieści odezwał się: »Wstawaj wćpan i pójdź ze mną, będziesz ocalony; twój koń czeka już w pogotowiu.« Młodzieniec na te wyrazy przebudził się, i tyle miał przytomności umysłu, że po niemiecku odpowiedział: »Czego chcecie ode mnie.«

Kiedy Castagnos dowiedział się o téj nowéj próbie i wypadku onéj, zawołał: »Młody ten Rossyjanin jest zacnym człowiekiem!« Wprawdzie on go przenikał, lecz jego sposób myślenia nie miał żadnego wpływu w owym sądzie, który chciał koniecznie winnym uznać oficéra, a zawsze niewinnym go znachodził.

Noc, którą przebył Lekczyński, była okropną. Nazajutrz nim jeszcze zeszło słońce, przyszło cztérech ludzi, między tymi był i ten, co go w Madrycie widział, i prowadzili go przed sąd wojenny; rozmawiając między sobą, grozili więźniowi, który wierny postanowieniu, zdawał się nie rozumieć. W obec swoich sędziów zapytał zawsze po niemiecku, gdzie jest tłumacz jego; nakoniec przywołano go i zaczęto śledztwo.

Z początku zapytywano go o celu podróży jego z Madrytu do Lizbony; miasto odpowiedzi wskazał na depesze posła rossyjskiego do admirała Siniawina, i paszport. Zapewne bez nieszczęśliwego spotkania się z włościaninem, który utrzymywał, że go widział w Madrycie, dowody te byłyby nadto wystarczającémi. Lecz zeznanie tego człowieka, który z nadzwyczajną, bo z prawdy wynikającą stałością, przy niém obstawał, rzucało na młodego Polaka gruby cień podejrzenia, w miarę którego namiętni sędziowie uznawali go za szpiega, a tém samém pogorszało się jego położenie. Z tém wszystkiém stale on trzymał się tego, co raz wyrzekł, i strzegł się pilnie, aby w jakiém nie zdradził się słowie. »Zapytaj go,« rzekł prezydent sądu. »Azali on kocha Hiszpanów, gdy nie jest Francuzem? Tłumacz przełożył mu to pytanie.

»O bez wątpienia,« odpowiedział Lekczyński, »kocham naród hiszpański i szacuję go, że nie zna granic w poświęceniu się dla swojéj ojczyzny. Chciałbym, żeby go naśladowały inne narody... żeby nakoniec z Francyją i z Hiszpaniją zgoda stanęła.«

»Panie pułkowniku,« rzekł tłumacz do prezydenta, »więzień powiada, że nas nienawidzi, ponieważ my prowadzimy rozbójniczą wojnę, że nami pogardza i żałuje, że cały naród nasz nie jest jednym człowiekiem, aby téj okropnéj wojnie jednym ciosem koniec położyć.«

Kiedy to tłumacz mówił, wszystkich oczy wpatrywały się w twarz więźnia, śledząc w niéj każde wzruszenie duszy, jakie na nim sprawiło fałszywe tłumaczenie jego odpowiedzi. Lecz młody Polak, idąc przed ten sąd, przygotował się na każde doświadczenie, i jeszcze raz postanowił sobie, stałością niezachwianą umysłu, pokonać wszystkie podejścia i groźby; jakoż tak dobrze odegrał swoję rolę, że nikt nie dostrzegł na jego twarzy aby cokolwiek z słów tłumacza rozumiał.

»Mości panowie!« zawołał jenerał Castagnos, obecny tym próbom, które bez jego wiedzy przedsięwzięto; »zdaje mi się, że niesłuszne podejrzenie pada na tego młodzieńca. Wieśniak pewnie się pomylił. Natychmiast wrócić wolność więźniowi, i puścić go swoją drogą. Jeżeli będzie zdawał sprawę z tego, czego doznał, niech raczy pamiętać, że niebezpieczne położenie nasze wymaga surowości, któréjśmy użyć musieli.«

Lekczyński odebrał swój oręż i depesze, przytém zaopatrzono go paszportem — i tak, dzielny ten młodzieniec zwycięzko wyszedł z najokropniéjszéj próby, na jakie ludzie w życiu swojém częstokroć wystawieni bywają. Przybywszy do Lizbony, dopełnił zlecenia, i chciał znowu wracać do Madrytu; lecz Junot nie zezwolił na to.

— Ze Lwowa. —

U Kuhna i Millikowskiego wyszło właśnie dzieło w języku niemieckim: *Flora der Stadt Lemberg* i t. d. (Flora miasta Lwowa, czyli opisanie roślin, dziko około Lwowa rosnących, uporządkowanych według czasu ich kwitnienia. Przez Dr. Alex. Zawadzkiego, profesora matematyki, fizyki i nauki wychowania w zakładzie naukowym dla regularnego kleru Galicyi.) Autor tém dziełem, z tak zmudną pracą ułożoném, nie małą uczynił przysługę miłośnikom przyrody ojczystéj. Naturalista znajdzie tu każdą, około miasta naszego dziko-rosnącą roślinę, wyczyta dokładną jéj charakterystykę, a praktyk dowié się często o jéj użytku i własnościach. Przydanie na końcu nazw polskich, nową i tak pożądaną dziełu temu nadaje wartość, za co czytelnicy polscy winni wdzięczność szanownemu autorowi. Flora Lwowa zawiéra w ogóle 389 gatunków z 832 rodzajami roślin. Najpierwsza przytoczona tu roślina, zakwitająca około naszego miasta, jestto *Galantus nivalis L.* (Snieżyca ranna). Rośnie po gajach i chaszczach. Znajdzie ją w gaju Kortuma, na Cetnarówce, u Stéj Zofii i t. d. Kwitnie już w połowie lutego. Ostatnia roślina, która świéżym kwiatem swoim ożywia obumiérającą już i do kilkomiesięcznego letargu gotującą się przyrodę naszych okolic, jak ostatnia piękniejszego zmartwychwstania nadzieja, jestto *Parnassia palustris L.* (Dziewięciornik pospolity). Roślina ta wzrasta po bagnistych łąkach, na moczarach leśnych, koło Kisielki, w Krzywczycach i t. d. Kwiat ma biały, przypominający zbliżające się śniegi. S. J.

Pan J. Łukaszewicz już drugiém dziełem o dyssydentach literaturę historyczną zbogacił. Dzieło o *kościołach braci czeskich w dawnéj Wielko-Polszcze*, wydane w Poznaniu 1835 r. u Pompejusza, jest rzeczywiście historyją akatolików polskich do ostatnich dociągnioną czasów. P. Łukaszewicz kreśląc w r. z. dzieje dyssydentów poznańskich, przekonał się zapewne, iż obrazu rozmaitych losów, jakich bracia czescy, lutrzy i kalwini w Poznaniu doznali, nie można skréślać, nie dotykając ogólnéj historyi akatolików polskich, zwłaszcza że różnowiercy polscy nie tylko z sobą, ale i z dyzunitami się łączyli i liczną osadę składali. Jakoż opis zejścia się duchownych dyssydenckich z greckiemi na rozmowę u księcia Ostrogskiego, w Wilnie r. 1599, jest najciekawszą częścią téj nader zajmującéj książki. Piérwsza więc część z niewłaściwym *o kościołach braci czeskich* napisem, jest niemal powtórzeniem tego, cośmy już w książce o dyssydentach z. r. wyczytali. Sławny zjazd sandomierski obszérniéj nieco opisany wedle Jabłońskiego *(Historia consensus sandomiriensis)*. Wiek 18sty wyjęty jest z dzieła: *Ausführlicher Bericht eines polnischen Einwohners von den Schicksalen der sammtlichen Dissidenten in Polen unter der Regierung Stanislaus Augustus*, 1744. Lecz prawdziwe zbogacenie naszéj historycznéj literatury stanowiącą część wiadomości, wyjął nasz dziejopis dyssydentów z archiwum braci czeskich w Lesznie i z wielu innych. Niektóre z tych archiwów wyjęte papiéry; jak n. p: *Podróż Sandomierska* Simona Teofila Turnowskiego umieścił autor całkowicie od stronicy 74; żałujemy tylko, że *Podróży litewskiéj* tegoż Turnowskiego i obrony sandomierskiego konsensu i wielu dzieł polemicznych, za i przeciw dyssydentów, szczegółowo nie wyliczył. Szacowna książka jego przydaniem jeszcze kilku arkuszy nie wydałaby się droższa dla tych, którzy jéj wartość cenić umieją, a literatura z nikąd teraz ratunku nie mająca, pokrzepiłaby się wiadomościami i krok naprzód postąpiła, co się obecnie rzadko jéj zdarza. Cokolwiek bądź, p. Łukaszewicz obeznaje nas bliżéj z losem wyznania, które literaturze Komeniuszów, Johnstonów, Rybińskich, Turnowskich i tylu innych mężów wydało, którego członkami byli Ostrorogowie, Opaleńscy, Gorajscy, Orzelscy, Leszczyńscy, które się do wykształcenia dwóch języków sławiańskich, polskiego i czeskiego, do rozszérzenia oświaty w narodzie naszym w 16tym wieku znacznie przyłożyło; lecz dziejopis, wystawiając korzyści, nie przemilczał i szkodliwego ich na losy krajowe wpływu. Już za Władysława IV. akatolicy na postronnych nadzieje budując, uczyli się wiązać z nieprzyjaciołmi kraju, a w szwedzkiéj, za Jana Kazimierza wojnie wypłynęły z tego źródła wszystkie nieszczęścia. Lubo autor jenealogii tych wypadków gienetycznie nie rozwinął, wszelako jasny nam skréślił obraz, którym czytelnik zaspokoić się może. Pan Łukaszewicz nie maże lewą ręką, co prawą napisał, jak ś. p. Bandtkie, w swojéj tak nazwanéj *Historyi narodu polskiego*, i przy zbiéraniu materyjałów do swojéj budowy ostrza rozumu nie stępił. Opowiadanie jego płynie spokojnie, jak potok, w którym żadne przeszkody nie stérczą, język poprawny; słowem, książka p. Łukaszewicza i z treści i z postaci, i z przerobienia rozumem wątku historycznego, do rzadkich literatury naszéj zjawisk należy i sprawiedliwą autorowi przynosi chlubę. (G.K.)

Jan Chryz. Pasek w Pamiętnikach swoich przytacza godną zastanowienia badaczy natury odwagę małéj ptaszyny: »Stanęliśmy (mówi) pod Kozieradami na trzy niedziele przed Świątkami. To cudowna, że kiedy mi zbudowano chłodnik przed namiotem z brzozowego chrustu, zaraz w tymże dniu począł sobie robić gniazdo trznadel u samych drzwi mego namiotu a w płocie owego chłodnika, i jawnie na gniazdo znosił między gęstwą ludzi, zbudowawszy je, nasiadł na swoich jajkach i wylągł młode. W owym chłodniku był stół z tarcic na soszkach zrobiony, u tego stołu jadano, pijano, w karty grywano, strzelano czasem, wołano, a ptak siedział i nie bał się najmniéjszéj rzeczy, choćto było zaraz w rogu stołu; gdy mu się jeść chciało, to przed rumakiem owies zbierał. Wysiedział tedy owo swoje potomstwo, wychował i wyprowadził.« (G. P.)

P. Zubow nie dawno wydał: »Zwycieztwa rossyjskich wójsk w krajach kaukazkich od r. 1800 do 1834, z życiorysami, widokami, planami bitew i ogólną kartą Kaukazu.« Dzieło to składa się z dziewięciu tomów.

Pan Serwaczyński daje w Peszcie muzyczne wieczory, na których grywają najlepsze kwartety.

Sławny wirtuoz na fortepianie Henryk Herz w Paryżu, wynalazł instrument, który się nazywa *Daktylion*, ułatwiający sposób układania palców na klawiszach. Ministeryjum publicznego oświécenia wyznaczyło w tym celu komisyję rozpoznawczą, która wydała zdanie najpochlebniejsze dla wynalazcy.

W okolicy Opolna na Szląsku pewna 100-letnia kobiéta powiesiła się. Powodem do tego było dziwaczne urojenie; przeżywszy wszystkich swoich krewnych wyobrażała sobie, iż Pan Bóg zapomniał o niéj, i że ze świata zabrać ją nie chce; ta myśl do tego stopnia owładnęła jéj umysł, iż sama odebrała sobie życie.

Z 1szym stycznia tego roku ustała w całéj Francyi loteryja; administracyja onéj mogła na samym ostatku w niezmierny wpaść kłopot, albowiem w Boulogne postawiono na trzy numera summę 25,000 frank. Gdyby były wyszły, stawiający mógł był wygrać summę 137 milijonów frank.

Na Marsowém Polu w Paryżu założono kolej żelazną, na któréj uczyniono następujące doświadczenie. Połączywszy cztéry wozy ze sobą, włożono na nie 150 cetnarów ciężaru, który jeden koń z największą ciągnął łatwością.

Miasto Paryż swoim nakładem kopie artezyjską studnię w bliskości rzeźnicy Grenelle, która chociaż musiano przebić twardą opokę wapienną, doszła 250 metrów (132 sąż. wiedeń.) głębokości. P. Arago próbował temperatury wody, i znalazł, że miała 20° ciepła, co z dotychczasowemi obrachowaniami o stopniach gorąca w głębi ziemi, zupełnie się zgadza.

P. Lemolt w Paryżu urządził medyczno-elektryczny zakład, którym rozmaite choroby za pomocą elektryczności usunąć zamierza, i już pomyślnemi skutkami środek się jego objawia. Szczególniej skuteczną jest wynaleziona przez p. Lemolt tak zwana elektryczna szczotka, za pomocą której całe ciało elektrycznym przechodzi płynem; w ogóle nowy ten aparat w wielu bardzo względach różni się od dotychczasowie znanych.

W Paryżu żyje bardzo osobliwy człowiek, dość majętny Juliusz de St. Crique. Opowiadają o nim tysiączne dziwactwa. Przyszedł on raz do kawiarni Tortoniego, aby się ochłodzić, i kazał dać sobie 3 szklanki lodów, jednę zjadł, a dwie wylał w boty. Zazwyczaj sypie sól do herbaty zamiast cukru przez roztargnienie. Razu jednego porwał misę z sałatą zamiast swego kapelusza, i wszystko wylał sobie na głowę. Jest on prawdziwym dobroczyńcą woźnicom, gdyż jeżeli mu się zdaje, że ma pilny interes, bierze 10 do 15 fiakrów, którzy za nim czwałem jadą. W największe upały jezdzi konno, obwinięty w 3 płaszcze, w bótach futrzanych i z deszczochronem. Właściciel wspomnionéj angielskiéj kawiarni, który ciągle z nim miał wiele nieprzyjemności, ponieważ zwykle wszystkie okna i drzwi otwiéra, i innych gości kataru nabawia, i damy zaraz się oddalają, zabraniał temu jegomości przystępu do swego domu.

Pewien podróżny opowiada, iż w Wiedniu puszczono 15 gołębi, które w pół siódméj godziny przybyły do Arras (we Francyi) z wiadomością o wygranych losach na loteryi.

W Anglii i Francyi gdzie tak częste zdarzają się zabójstwa przez truciznę (we Francyi od r. 1824 do 1832 otruło się 273 osób) postanowiono, ażeby arszenik, dla rozpoznania go między innemi ciałami, farbować i pachnidłami zaprawiać. Magistraty zajmują się doglądaniem aptekarzy w dopełnieniu tego przepisu.

Zdaje się, że sztuka robienia szabel damasceńskich, zupełnie zapomnianą została w Damasku; głownie jakie dziś ztamtąd wychodzą są bardzo liche. Nie wielka tylko liczba znajduje się owych sławnych damascenek, które od ojca do syna jak kosztowne relikwie przechodzą. Turcy i Arabowie wyżéj cenią taki oręż, niż dyjamenty, i nie masz nic, czegoby nie oddali za posiadanie podobnego skarbu. Lamartine kupił taką damascenkę za 5,000 piastrów. Wzrok Arabów pałał uniesieniem na widok téj głowni, a w wyrazie ich twarzy przebijała się cześć tajemna dla tego narzędzia śmierci.

W Virofiay sprzedawano temi czasy stadninę po zmarłym p. Rieussek, którego chowu konie wielką miały sławę. Najdroższej sprzedano Ivanhoe, bo za 15,000 fr.; Jaron i Herkules doszły do 18,000 fr.; jednakoż cofnięto tę cenę. Z innych Laokoon kupiony za 8,000 fr.; Young-Urganda, chociaż z najczystszéj rasy, sprzedaną została po najsłuszniéjszéj cenie.

Gdy hrabia Bonneval Doulen, będący mairem w Bourges, parem mianowany został, życzył sobie i dawniéjszą swoję zatrzymać posadę. »Człowiek ten,« rzekł dowcipny Odry w Paryżu, chce być razem i paire i maire *(pere et mere)*; a to nie uchodzi.«

W dodatku do drugiéj podróży kapitana Ross, przedsięwziętej w zamiarze odkryć w północno-zachodniej stronie ku biegunom, znajdujemy tą ważną okoliczność, że ropa w beczce z solonem mięsem, znalezionej na odnodze Fury, znajdowała się jeszcze w stanie płynnym, chociaż beczka wystawioną była na temperaturę 38° Reaum. poniżej zera, to jest na mróz, w którym żywe srebro marznie.

W Londynie obchodzą co roku d. 5. listopada odkrycie spisku prochowego (r. 1603 stronnictwo katolików chciało zemścić się na Jakóbie I., który ich zawiódł w nadziejach, wysadzeniem go miną prochową w parlamencie) hucznémi procesyjami. Po mieście oprowadzają bałwana, przedstawiającego Guy Fakes, którego palą. Często też trafia się, że jaki biédak w zastępstwie bałwana daje się związać i oprowadzać. Na tegorocznym obchodzie zmuszono jakiegoś Graj do przyjęcia tej roli, i mimo oporu i szamotania się tego fałszywego Guy Fakes, przywiązano go do stołka, przekładając mu, że on najlepiéj swoję rolę odegra, bo zapewne Guy Fakes nie siedział spokojnie, kiedy go na rusztowanie prowadzono.

W r. 1750 jakiś szaleniec prorokował, że cały Londyn zapadnie się przez trzęsienie ziemi; bezczelnemu jednemu szarlatanowi przychodzi do głowy wymyślić pigułki, które jak zaręczał, lekarstwem na trzęsienie ziemi być miały.

Na wyspie Ceylon dziwnym sposobem obchodzą się z dłużnikami. Nasamprzód zdejmują z nich suknie i tak przez długi czas zostają pod strażą. Jeżeli zaś dłużnik upiéra się i zapłacić nie chce, przywiązują mu ogromny kamień na plecach, który nosi dopóki nie uiści się z długu. Gdy i to nie pomaga, na nogi dają mu z cierniu obówie, w końcu dopiéro, gdy wszystkie kary skutku nie sprawiły, wierzyciel oświadcza, że ma zamiar się otruć, jakoż, jeżeli i tu wypłata nie nastąpi, a groźba wykonaną zostanie, natenczas dłużnik jako powód do zabójstwa wierzyciela, ponosi karę śmierci.

Dziennik *Norlands Fiding* w Szwecyi umieszcza następujące postrzeżenie: Przez kilka wieczorów ostatniéj jesieni, tu w Hernösand pokazywała się przepyszna zorza północna, częścią ćmiącej białości, częścią mieniąca się różnémi barwy. Najwięcej światła padało z Zenitu, które w słupy ogniste z jednego rozstrzeliwało się punktu w kształcie promieni. Kilka razy wielki, biały łuk przepasywał całe niebo. Dziwną spaniałość tych igrzysk przyrody trudno opisać. Najpiękniejszy widok przedstawiał dzień 25. listopada. O godz. 7méj zajaśniały te płomieniste ognie niebieskie, i prawie całą noc trwały. Nie tylko oczy poiły się zorzą północną, ale nawet i uszy ją słyszały; albowiem masy ognia syczały nad głowami chodzących osób. Potém zorza przemieniła się w najjaskrawsze kolory, które na bezchmurnem niebie tém żywiéj odbijały. Za tém świetlem, jak za cienką zasłoną, błyszczały w dalekości gwiazdy.

Dwóch zapalonych przeciwników do samego świtu grało z sobą w maryjasza w kawiarni, w końcu zachodzi między nimi żwawa sprzeczka, i ten i ten ma słuszność, wypadało zdać się na sąd trzeciego. »Rozsądź nas wćpan,« zawołali razem, obracając się do pewnego jegomości, który od kilku godzin z największą uwagą téj grze się przypatrywał; lecz ten zaręczał jak najuroczyściéj, że nic a nic maryjasza nie rozumie. »Być żeto może, abyś wćpan gry nie rozumiejąc siedział przy nas od wieczora do rana?« — »Jestem żonaty!« odpowiedział z westchnieniem.

Dla miłośników starożytności. W okolicy Aten odkryto w ziemi skamieniałego nocnego stróża, w postaci jakoby chciał trąbę do ust przyłożyć. Któryś z uczonych utrzymywał, iż skamieniałość ta sięga r. 405 przed narod. Chr., kiedy Spartańczyk Lysander dobył Aten. Dwóch niemieckich filologów zacięty spór toczyło o to, czyli ten nocny stróż chciał otrębywać dziesiątą lub jedenastą godzinę, a pewien Anglik wniósł z twarzy skamieniałego trupa, iż trąbił na gwałt w czasie pożaru.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.